

Prawo do marzeń powinno się mieć w każdym wieku

TEATR

„Chłopcy” powstał ponad pół wieku temu. Dziś nadal są ważną sztuką o starości, ale nawet najlepszy tekst potrzebuje dobrego reżysera.

Sztuka Stanisława Grochowiaka w warszawskiej Polonii nie powinna być zaskoczeniem. Krystyna Janda wielokrotnie w prowadzonym przez siebie teatrze dotykała problemu tolerancji, przypominała, że rolą artysty jest upominać się o prawa słabszych, odsuniętych na margines. Z manifestem artystycznym Esther Vi-lar „Starość jest piękna” wyszła nawet na ulicę, a konkretnie na plac Konstytucji.

Stanisław Grochowiak napisał „Chłopców” w 1964 roku, wkrótce po wizycie w domu spokojnej starości, gdzie odwiedził dobiegającego setki

przyjaciela. Odkrył pewną społeczność, złożoną z wielu barwnych postaci, która żyła we własnym mikroświecie, próbując wyłamać się spod panującej tresury przełożonych.

Im właśnie Grochowiak poświęcił swoją sztukę, starając się zwrócić czytelnikowi uwagę, że każdy ma prawo do pewnej małości, a także do chwil słabości. Oraz do tego, co inni nazwaliby dziwactwem. Cała opowieść, daleka od taniego sentymentalizmu, okraszona jest humorem. Ta sztuka zapisała się w historii wybitną, choć z dzisiejszego punktu widzenia nieco archaiczną inscenizacją telewizyjną z udziałem wielkich nestorów sceny polskiej: Kazimierza Opalińskiego, Zdzisława Mrożewskiego, Aleksandra Dzwonkowskiego, Zofii Ry-siówny i Zofii Małynicz. W ta-



♦ Helena Norowicz i Krzysztof Gosztyła w „Chłopcach”

kim zestawie Gustaw Lutkiewicz mógł być jedynie młodzieniaszkiem o wdzięcznej ksywie Smarkul.

Były też świetne inscenizacje w gdańskim Wybrzeżu, Teatrze Polskim w Warszawie,

Starym w Krakowie i Nowym w Łodzi. Ten spektakl pokazuje, że tekst w warstwie werbalnej nie stracił na aktualności, choć przedstawienie podpisane nazwiskiem Mirosława Gronowskiego trudno uznać

za sukces. Jest po prostu niewyreżyserowane. Tempo siada, scenom dramatycznym (relacje Kalmity z żoną) brakuje napięcia. Aktorzy ratują się, jak mogą, co nie zawsze wychodzi z korzyścią dla całościowego efektu.

W postać starca Józefa Kalmity, którego o wiele młodsza żona oddała do przytułku, by nie przeszkadzał jej w aktorskiej karierze, zwykle obsadzani byli seniorzy sceny polskiej. Tu Krzysztof Gosztyła, który szczególnie w radiu osiągnął głosowe arcymistrzostwo, próbuje nastrajać się na starca, co daje efekt groteskowy. Przy nim Maria Pakulnis jako młodsza od niego o kilka pokoleń żona również wypada niewiarygodnie.

Najciekawiej aktorsko wypadł Stanisław Brudny, po raz kolejny można powiedzieć aktor niedoceniany. W postaci

Jo-Jo zawarł godność, szlachetność, a także ciągłą młodość starego człowieka. Ciekawie partnerowali mu Krzysztof Kiersznowski (Smarkul), pełen witalności, chłopięcej zadziorności Marian Opania. Urodą, a nie dykcją, zwracała uwagę modna dziś Helena Norowicz, a Barbara Horawianka zaskoczyła brawurowo zagrana postacią siostry przełożonej.

Gdyby reżyser potrafił zapanować nad całością, byłaby to opowieść wzruszająca i wysoce pouczająca. Zwłaszcza w czasach, kiedy ludziom starszym próbuje się wmówić, że są społecznym problemem, pozbawia się ich praw do godności i własnych marzeń. ©©

—Jan Bończa-Szabłowski



Więcej zdjęć
ze spektaklu

rp.pl/kultura